

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Tunel pod-alpejski, obecny stan robót, ich przyszłość—szczegóły wyczerpnięte z memoriału pana Conte, naczelnego inżyniera dróg i mostów. — (Mémoire rédigé par Mr. Conte, ingénieur en Chef des Ponts et chaussées). — Droga żelazna tymczasowa przez górę Cenis. — Balon Nadara. — Wystawa fotografii. — S. p. Eugeniusz Delacroix. — Wiadomości literackie.

Pomiędzy robotami które najwięcej u potomności zaważą, w pierwszym rzędzie stanie niechybnie, dokonywany obecnie tunel pod-alpejski. Przewiercić w granicie kurytarz 12,220 metrów długi, tysiąc sześćset metrów pod alpejskimi szczytami, od stworzenia świata sterczącymi jako naturalna zaporą pomiędzy dwoma narodami, nie jestże to olbrzymie świadectwo potęgi człowieka i jego głębokiej znajomości nauk, przeznaczonych do przeobrażenia powierzchni globu? Badanie takiego dzieła zapala umysł, porywa wyobraźnię, wiąże się z najtrudniejszymi zadaniami mechaniki, geologii, fizyki i architektury; powszechność na Zachodzie coraz mocniej zajmuje się przedsięwzięciem dokonywanym na włosko-francuskiej granicy, dlatego nie od rzeczy będzie powiedzieć na tém miejscu słów kilka o obecnym stanie tych ogromnych robót i o ich przyszłości.

Pierwszą myśl pod-alpejskiego tunelu podał inżynier Medail, syn tych gór, na pół Włoch a Francuz na połę, człowiek zamilowany w swoim rzemiośle, więcej atoli poeta niż praktyk uczony. Dokonywając pomiaru góry Frejus, spostrzegł że możnaby przebić pasmo Alp, pomiędzy Bardoneche i Modane. W tém miejscu stoki rzek Arc i Dora schodzą się równolegle: Arc płynie we Francji ze

wschodu na zachód; Dora we Włoszech, z zachodu na wschód. Rozdzielająca je góra jest szczupła i nie bardzo wysoka.

Medail spostrzegł prawdopodobieństwo podkopu; ale od natchnienia do urzeczywistnienia daleko!

Skoro pomysł swój objawił światu, umysły praktyczne potępiły go z góry, wytykając mnóstwo niepodobieństw. Zarzutów znaleziono co niemiara, a najprzód: że tunel blisko trzynaście wiorst długi, musiałby być kuty w gruncie o 1600 metrów pod szczytem góry Frejus: że zatem niepodobnym było bić studnie, tylko ograniczyć się wypadało na zwykłym kopaniu, bez środków zaś nadzwyczajnych rozpoczynające tę pracę pokolenie nie doczekałoby jej końca.... Nadto, niewiedomo coby napotkano w tej głębokości? z kąd wziąć tam powietrza do oddychania? czy wedle teorii wzrostu gorąca, w miarę zagłębienia się w ziemię, nie znalezionoby w tym lochu upału nie do wytrzymania? Jakich nakoniec sposobów użyć, ażeby posuwając się wgłąb z dwóch końców spotkać się w środku góry po długoletniej pracy?

Byłyto zapewne pytania mogące przerazić najbieglejszego inżyniera. Trudności praktyczne uszły baczności Medail'a nieposiadającego wielkiej nauki; ale w urzeczywistnieniu dzieł takich, wiara i wyobraźnia gra jeżeli nie główną, to ważną rolę. Medail jak Lesseps woził się ze swym projektem po świecie. Nie znalazłszy sprzymierzeńców we Włoszech, przywiózł go do Paryża. Tu z początku odpowiedziano mu jak w Turynie. zwątpieniem i szyderstwem. Mimo to nie odstraszone inżyniera ideologa, bo go wspierała też wiara, co góry przenosi i przewierca.

Ponieważ Medail uporczywie powtarzał swoje, powoli oswojono się z jego projektem. Przedsięwzięcie już nie wydawało się szaleństwem ludziom praktycznym: z czasem nawet spostrzeżono, iż urzeczywistnienie jego nie byłoby mrzonką, gdyby w pracy przebijania skały, można było robotę rąk ludzkich zastąpić siłą mechaniczną, szybszą, tańszą, a mianowicie, gdyby można wpuszczać powietrze w dalekie podziemia.

Mechanicznej tej pracy nie można było żądać od maszyn parowych, wchodzących w tunel w miarę pogłębia-

nia się jego, bo objętość ich, opalanie i t. d. tworzyłyby trudności nie do przebycia. Potrzeba było, żeby siła została na zewnątrz dwóch tunelowych wchodów i żeby ta siła miała rękę elastyczną, oraz rosnącą, którąby mogła dosięgnąć i działać aż w środku góry, w odległości przeszło sześciu wiorst.

Kiedy tak inżynierowie europejscy rozmyślali co począć z tym klinem, który im Medail zabił w głowy, belgijski inżynier Mauss zaprojektował maszynę w kształcie poruszanych przez sprężyny nożyc, któreby krajały skałę. Koła hydrauliczne miały nadawać ruch sprężynom za pomocą sznurów i krążków. Ale ten projekt nasuwał pytanie, czy te sznury i krążki mogły przesyłać ruch nie osłabły, w odległość przeszło sześciu wiorst? wątpić się godziło. A choćby i przesyłały, największa trudność, opowietrzenie tunelu, pozostawała nie rozwiązana.

Zastanawiano się nad maszyną Mauss'a, kiedy pan Colladon z Genewy wpadł na pomysł przesyłania siły, z zewnątrz na wewnątrz, za pomocą zgęszczonego powietrza zamkniętego w rurze. Pomysł był szczęśliwy, albowiem, wraz z powietrzem potrzebném do oddychania, przychodziła siła, z łatwością i bez kosztów. Tym sposobem rozwiązano, jednym zamachem, dwie największe trudności.

Zastosowanie powietrza i wody zgęszczonej, ma ogromną przyszłość; więżąc, za pomocą maszyn, te dwa płyny w sieci rur, można otrzymać potężny czynnik do rozwiązania mnóstwa ważnych zadań ekonomicznych i higienicznych.

Rzecz godna uwagi, że w miarę jak sztuka i nauka inżynierska się doskonalą, człowiek nabywa potęgi organizowania ziemi wedle praw odpowiednich tym, którym poddany mechanizm ciała ludzkiego. Kanały i drogi żelazne, są to olbrzymie żyły, któremi krąży bogactwo społeczeństw; telegrafy elektryczne, są nerwami tego ciała przesyłającemi wszędzie myśl jego mózgu; owe mnóstwo rur rozmaitych rozmiarów, któremi ulice stolic podmianowane, są organami specjalnemi, przeznaczonemi do roznoszenia ciepła, gazu, wody, a niedługo i siły.

W ten sposób urządzone miasta obsługiwane siłami natury, nie są to wielkie ciała organiczne? Jestto zapewne tylko bardzo grube naśladownictwo dzieł przyrody, ale te są tak wzniosłe i mądre, że nawet odległe z niemi podobieństwo zaszczyt ludzkiemu rozumowi przynosi.

Genewczyk Colladon rzucił tedy pierwszą myśl użycia zgęszczonego powietrza do przesyłania siły potrzebnej do drażenia pod-alpejskiego tunelu. Zasługa zastosowania tej myśli spływa na trzech inżynierów Włochów. Tunel pod-alpejski, jak Iliadę, tworzyła zbiorowa siła umysłowych wytrysków.

Naczelnny inżynier szkoły paryzkiej dróg i mostów, pan Conte, w świeżo wydanym *Memoryale*, opowiada z jakiej okazji myśl pana Colladon wcielona została.

Rząd włoski zadekretowawszy budowę drogi żelaznej z Turynu do Genui, kazał swoim inżynierom szukać sposobów wciągania pociągów na wzgórzu Ponte-Decimo w Busalla. Miasto Genua skorzystało z otwarcia tunelu Giovi, wychodzącego na stok północny doliny Scrivia, ażeby wody potoku tegoż nazwiska, do miasta sobie sprowadzić. Wtedy inżynierowie Grandis, Grattoni i Sommeiller zgęścili powietrze w rurze prowadzącej wodę, celem użycia takowego jako siły do wciągania wagonów na wzgórzu Busalla. Jednocześnie pan Bartlet inżynier angielski z kompanii Wiktora Emanuela, wynalazł drażnię (*machine perforative*), przyrząd parowy do drażenia dziur na podkładanie min. Trzej Włosi użyli tej maszyny do okazu działania zgęszczonego powietrza. Próba zbiorowego dzieła powiodła się całkowicie.

Od tej chwili zadanie przebicia Alp mogło być uważane za rozwiązane.

Dziwny zbieg pomysłów teoretycznych i wysiłków intelligencji ku ich uprządkowaniu, dał narzędzie; potrzeba je tylko było wydoskonalić. Tego zadania dokonał inżynier Sommeiller budując drażnię doskonalszą niż pierwotna drażnia pana Bartlet.

Skutkiem raportu komisji, dekret z dnia 15 sierpnia 1857 roku, upoważnił rząd włoski do budowania części *Drogi Żelaznej Wiktora Emanuela*, pomiędzy Suzą i Modą-

ne, stosownie do projektu przedstawionego przez inżynierów Sommeiller, Grandis, Grattoni i Renco.

Prace około pod-alpejskiego tunelu, dziś zupełnie uorganizowane, składają się z operacji trojakiich:

1. Przy każdym wnijsciu tunelowém zgęszczać powietrze do ciśnienia siły pięciu atmosfer i zamykać je w przeznaczone do tego rezerwoary.

2. Przesyłać to powietrze, aż do głębi galeryi, zachowując mu jednakie ciśnienie.

3. Użytkować siłę powietrza wedle potrzeb, czy to do roboty maszyn, czy do opowietrzania tunelu.

Zgęszczanie powietrza dokonywa się za pomocą maszyn dwojakiego rodzaju: zgęszczaczy tłuczących (*compresseur à choes*) i zgęszczaczy pompowych (*compresseur à pompe*). Pierwsze zgęszczają powietrze za pomocą ruchu klap i prądu wody: jestto działanie odpowiednie działaniu hydraulicznego kafara. Zgęszczacz pompowy, prostszy i mniej kosztowny, nadto działający lepiej, na przyszłość będzie wyłącznie używany.

Po stronie włoskiej w Modane, siły dostarcza potok Meleret, z którego wyprowadzono kanał, dostarczający wody półtora metra sześciennego na sekundę. Po stronie francuskiej dostarcza wody gałąź rzeki Arvy, w ilości sześciu metrów sześciennych na sekundę.

Powietrze zgęszczone przez maszyny, to jest, do działania przygotowane, znajduje się zamknięte u wejścia tunelu w dziesięciu rezerwoarach żelaznych. Stanowi ono siłę elastyczną, potężną, czekającą na rozkazy robotników.

Mając ją u wnijscia, potrzeba tę siłę przenieść w głąb, i kazać ję poruszyć drażnie ustawione w galeryi celem kruszenia skały. Przeniesienie siły uskutecznia się w sposób najprostsz, za pomocą rury metalowej mającej 20 centymetrów średnicy; rura przedłuża się w miarę jak postępuje galerya, a kończy kilkoma ruchomemi rurami z kauczuku, nakształt trąby słonia. Temi rurami wchodzi zgęszczone powietrze albo w rozmaite organa maszyn drażących, albo w galeryę, dla opowietrzania ję i wypchnięcia powietrza zepsutego po wysadzeniu każdej miny.

Trąby kauczukowe ruchome, rozmaitego rozmiaru, są powleczone pokrowcami z mocnego płótna, ażeby się mogły oprzeć ciśnieniu wewnętrznemu jakie wytrzymywać muszą.

Skoro tylko skutkiem posunięcia dziennéj pracy, wydłużone trąby zaczynają zawadzać, sztukują rurę blaszaną, a kauczukowe do jej nowego końca przyprawiają. Trąby te wyobrażają tedy ręce olbrzyma poruszanego przez maszyny ustawione przy obu otworach tunelu. Te długie ręce poruszają drażnie.

Niepodobna bez rysunku dać dokładnego pojęcia tego przyrządu, ustawionego na wozie zagłębiającym się w miarę postępu roboty. Każdą drażnią porusza zgęszczone powietrze, które do niej dochodzi przez kauczukową trąbę, to jest, porusza horyzontalnie z gwałtowną szybkością, ogromną sztabę żelaza, czyli rylec bodący skałę. Rylec ten odbywa jeszcze ruch wirowy około siebie, cofa się i postępuje. Przebite dziury mają średnicy cztery do dziewięciu centymetrów; średnia ich głębokość wynosi dziewięćdziesiąt centymetrów. W każdą dziurę wchodzi prąd wody do jej czyszczenia.

Można teraz wyobrazić sobie ogólnie, organizacją pracy. Po obu końcach tunelu na szynach stoi wóz, a na nim ośm potężnych drażni o *niepodległych* rurach. Dwie maszyny środkowe drażą najprzód na linii horyzontalnej, dziury mające dziewięć centymetrów średnicy, a pomiędzy takimi dwoma dziurami mniejsze, z otworem cztero-centymetrowym. Sześć maszyn skrajnych działa następnie; razem wydrażają osmdziesiąt dziur na powierzchni dwunastu metrów kwadratowych. Praca ta dokonywana bez innéj przerwy jak zmiana narzędzi, skutecznia się w ciągu sześciu godzin.

Wycofawszy wóz z maszynami i zasłoniwszy takowy dwoma dębowemi drzwiami, robotnicy przystępują do wysadzania min: czyszczą wydrażone dziury prądem zgęszczonego powietrza, które je suszy, nabijają gotowemi ładunkami, i zapalają... Wnet grzmot podziemny znać daje, że tunelu parę łokci przybyło.

Średnia czasu potrzebnego do wiercenia dziur, jest sześć godzin; nabicie, wybuch i wywiezienie odłamów,

trwa cztery godziny. *Dziesięć godzin* potrzeba tedy na postąpienie ośmdziesiąt do dziewięćdziesięciu centymetrów naprzód. W teorii, postąpienie dzienne mogłoby wynosić metr, 70 centymetrów, czyli *pięćdziesiąt jeden* metrów na miesiąc; w praktyce atoli, nie przechodzi *czterdziestu* metrów po obu stronach.

Skoro galerya mająca dwanaście metrów kwadratowych przestrzeni, zostanie otwartą, robotnicy rozszerzają ją aż do ostatecznych rozmiarów tunelu.

Do dziś dnia zrobiono bez mała *szóstą część* tunelu. Jeżeli używane obecnie sposoby pozostaną takie jakie są, potrzeba byłoby jeszcze *sto dwadzieścia i pięć* miesięcy, czyli nieco więcej jak *lat dziesięć* do ukończenia pracy. Ale być bardzo może, iż ten przeciąg czasu zostanie skrócony. Stawiając u każdego wejścia dziesięć drążni, i powiększając liczbę robotników, inżynierowie spodziewają się przebić rocznie *tysiąc dwieście* metrów tunelu. W takim razie, bez nieprzewidzianych przeszkód, robota była-by ukończoną w lat ośm.

Jedną z największych trudności operacyi jest niezbieżenie z kierunku tunelu, żeby dwie linie w środku góry spotkać się mogły. Przedsięwzięto w tym względzie wszelkie ostrożności. Na szczycie góry Frejus, z kąda widać oba brzegi tunelu, postawiono obserwatorium opatrzone w theodolit; na gruncie zaś wyryto dokładnie przecięcie planu prostopadłego, przechodzącego przez środek tunelu i grzbiet góry. Tym sposobem inżynierowie są pewni, że dwie głowy tunelu są na jednym planie prostopadłym. Począwszy od każdej z nich, pochyłości drogi idą w kierunku przeciwnym: od strony Francyi tunel podnosi się 22 milimetry na metr, przez 6110 metrów; od strony Włoch schodzi, pochyłością pięciu milimetrów na metr, przez równą odległość.

Nie ulega więc wątpliwości, że te dwie linie spotkają się we środku góry, *byleby zawsze na tymże samym planie pozostały*. Ażeby sobie zapewnić ten warunek, dwa obserwatoria postawione po dwóch końcach, powiązano z obserwatorium środkowem, stojącym na szczycie góry Frejus. Obserwatoria skrajne opatrzone są perspekty-

wami stałemi, służącemi do kreślenia linii tunelu, od każdego końca ku środkowi.

Dzięki tym ostrożnościom i wyteżonej nieustannie uwadze przewodników, robotnicy posuwają się na pewno. Jeżeli wyniknie jakie zboczenie, będzie nader drobne i da się z łatwością poprawić przy końcu pracy.

Zanim ten pożądaný koniec nastąpi, rządy obu krajów myślą o zaprowadzeniu tymczasowej drogi żelaznej przez górę Cenis.

Wiadomo, że droga żelazna, której częścią tunel pod-alpejski, jest odnogą kolei wiodącej z Genewy do Culoz. Ta odnoga jest bardzo długa: z Culoz do Saint-Jean-de-Maurienne liczą 104 wiorsty; z Saint-Jean do Modane 29; z Modane do Suzy 48; z Suzy do Turynu 53. Razem z Culoz do Turynu 234 wiorsty. Obecnie, górzystą przerwę drogi żelaznej istniejącą pomiędzy Saint-Jean a Suzą, podróżni przebywają po bitym gościńcu wiodącym przez szczyt góry Cenis, dyliżansami ciągniętemi naprzemianą przez muły i konie. Drogość, długość i uciążliwość tej podróży, której dopiero tunel koniec położy, nasunęła myśl zaprowadzenia na istniejącej szosie, tymczasowej drogi żelaznej.

Jakiś angielski inżynier podał już projekt takiej drogi, którą podobno wciągu jednego roku skutecznie obiecuje. Byłaby to rzecz nader pożądana dla handlu obu sąsiednich krajów, które przez pięć miesięcy roku z narażeniem życia przewożą swoje towary, lub robią ogromne koło, żeby na żelazną drogę do Suzy się dostać. Na przebycie Alp (wiorst 80) średnia cena miejsca podróznego wynosi 22 franki; przewóz beczki towarów kosztuje franków 43. Ponieważ teraz przez rok przebywa Mont-Cenis 40,000 osób i 22,000 beczek, ztąd wynika, że ta przeprawa tak niewygodna i długa, kosztuje handel blisko *dwa miliony* franków rocznie, co czyni *szesnaście milionów* na ośm lat, których potrzeba do ukończenia tunelu.

Cyfra jest dość znaczna, ażeby o tymczasowej kolei pomyśleć można było. Droga będzie też zaprowadzoną niebawem, co bynajmniej nie odwróci powszechnego zajęcia od tytanicznej budowy pod-alpejskiego tunelu.

Pomyślnie dokonanie olbrzymiego przedsięwzięcia zdaje się niechybne. Człowiek opanował już górę i zmusił ją do rozdzierania własnego łona, nie co innego bowiem, tylko wodę spadającą z gleczerów, zaprzężono do pracy: kazano jej nosić siłę i oddychalne powietrze do jamy wydrążonej 1600 metrów pod śniegowemi szczyty. Człowiek uczestniczy tylko w dziele, jako intelligencya kierująca dowolnie siłami natury. Nie ulega dziś wątpliwości, że za lat dziesięć Paryż z Turynem powiązane zostaną nieprzerwaną wstęgą żelazną, która będzie nowym węzłem pomiędzy dwoma narodami, stworzonemi na to, żeby się kochały i pracowały razem na korzyść postępu oświaty i wolności.

— Powiedziawszy tyle o wspaniałych wynalazkach, któremi umysł ludzki odwiecznych wrogów dzieł ręki swojej *żywiły* zwycięża i ujarzmia, zapisać tu jeszcze należy wynalazek wykluwający się dopiero z jajka, ale obiecujący z czasem człowiekowi orle skrzydła. Chcę mówić o balonie Nadara.

Jazda powietrzna od czterech tysięcy lat próbowana z mniejszém lub większém powodzeniem, znajduje jeszcze dzisiaj gorących zwolenników. Jeden z nich poświęciwszy długie lata rozwiązywaniu dotąd nie rozwiązanego węzła, woła: *Eureka!* Znany fotograf paryzki Nadar w świeżo ogłoszonym piśmie usiłuje dowieść, iż wynalazł lokomotywę powietrzną.

W czasach, kiedy człowiek usprawiedliwił całkowicie swoją długo niewłaściwą nazwę króla przyrody; kiedy za pomocą elektryczności skasował przestrzeń, a rozjaśniając ciemności, słońcu rękawicę cisnął; kiedy podniósłszy się do potęgi twórczej, zrobił z niczego coś, ustalając za pomocą fotografii nieujętne widma; w czasach, kiedy już opanował ogień i wodę, kiedy tych dwóch rzemieślników świata do roboty zagnawszy, kazał sobie bić gościniec pod Alpami, odwracać rzeki i łączyć morza; w takich czasach, mówię, niczemu przeczyć nie można: a tém mniej, jeżeli idzie o opanowanie powietrza, które samo jedno dotąd poddać się królowi przyrodzenia nie chciało.

Nasze stulecie w długim łańcuchu wieków jaśnieć będzie promiennemi owocami nauk fizycznych; wiek pary,



elektryczności i fotografii, powinien być także wiekiem jazdy powietrznej. Że i ona doskonali się ciągle, nie ulega kwestyi; niepowodzenia nie dowodzą bynajmniej niemożebności wynalazku. W odpowiedzi sławnemu astronomowi Lalande, potępiającemu w roku 1782 „szalone usiłowania aerostatów”, zbudowano pierwszą Montgolfierkę, która była ulepszeniem dawniejszego systemu. Po Guytonie, Bertrandzie, Blanchardzie, Albanie, Vallecie, Degenie, Sansonie, Godarcie i tylu innych, którzy po Montgolfim szukali kierunku balonów, przychodzi Nadar z nową reformą jazdy powietrznej, reformą radykalną, zapewniając, że tą drogą po chmurach, jak po górach jeździć będzie.

„Ażeby walczyć z powietrzem, trzeba być gatunkowo cięższym od powietrza”. Oto jest zasada nowa, na której Nadar swoją teorią opiera.

Podobnie jak ptak gatunkowo jest cięższy, niż powietrze, w którym się rusza, podobnie człowiek powinien wymagać od powietrza punktu oparcia. Ażeby rozkazywać powietrzu, zamiast mu za igraszkę służyć, potrzeba się na nim oprzeć, a nie jemu służyć za punkt oparcia. W lokomocyi powietrznej, jak gdzieindziej, oprzeć się tylko można na tém co się opiera. Powietrze dostateczny opór stawia: powietrze, które mury obala, wykorzenia stuletnie drzewa i przez najsilniejsze prądy przepędza okręty, może też udźwignąć największą budowę, skoro raz podniesioną zostanie w górę do należytej wysokości.

Podniesienia tego, równie jak dalszego kierunku głównym motorem będzie helisa.

Nie jestto pomysł nowy. Piętnaście lat przed wzbiciem się pierwszej Montgolfierki, inżynier Paccton przepowiadał helisie, iż ważną rolę w jeździe powietrznej odegra. Nadar zajął się tylko zastosowaniem praktycznym znanych fenomenów. Jak z pomocą statystyki i dynamiki, balon swój wzbijać i kierować w powietrzu będzie, to tylko specjalny pisarz może specjalnym czytelnikom opowiedzieć językiem dla nich tylko zrozumiałym. O najprostszej maszynie trudno bez rysunku dać wyobrażenie, a cóż dopiero o tak skomplikowanym przyrządzie, jakim być musi pociąg drogi powietrznej. Powiemy więc tu

tylko, że balon Nadara będzie lokomotywą powietrznych wagonów.

Zamiast zwyczajnej łódki znajdującej się pod balonem, zawisnie pod nim dom obszerny, gdzie podróżni, jak na pokładzie okrętu znajdą wszystko czego ku wygodzie i umileniu podróży potrzeba.

W pracowni swojej na bulwarze Magdaleny, Nadar wykłada publiczności praktycznie swój wynalazek. Wykład jego wzbudza wielkie zajęcie w Paryżu. Bywają tam wszelkiego rodzaju ludzie, pomiędzy którymi niemało uczonych; nawet z członkami instytutu spotkać się można u fotografa aeronauty.

W manifestie swoim Nadar odzywa się do powszechnego światła i wzywa na pomoc ludzi dobrej woli; prosi uczonych, żeby raczyli poznać jego systemat, mianowicie zaś, ażeby dla tego, że nowy, nie został z góry potępiony i zabity w zarodku. „Nie bądźmyż zawsze tak źli i okrutni dla siebie samych, powiada w końcu, nie odpychajmy nielitościwie tych wszystkich, którzy mimo nas służyc nam pragną. Raczmy przynajmniej wysłuchać tego, kto boso po grudzie biegnąc, przynosi nam co znalazł. Proponuję zawiązanie towarzystwa balonowego ku ułatwianiu poszukiwań dotyczących autolokomocyi powietrznej. Towarzystwo takie zacząwszy z małym kapitałem, znalazłoby wnet w sobie potrzebne resursa, za pomocą wystaw lub prób publicznych, obudzających powszechną ciekawość. Byłoby ono ogniskiem badań. Komitety biegłych zgromadzałyby się peryodycznie, celem oceniania nowych pomysłów. Nie mamyż w przedmiotach mniejszej wagi towarzystw rozbierających kwestye sto razy niższe jak ta, która dokona największej rewolucyi w porządku fizycznym, moralnym i politycznym społeczności?”

Pierwsza próba nowego balonu odbędzie się w miesiącu października w Baden.

Francuzkie Towarzystwo fotografii urządziło piątą z rzędu wystawę płodów swoich w pałacu przemysłowym. Jest ona bardzo liczna, dobrana i nauczająca. Sztuka z nauką idą tu w parze: etnografia, archeologia, chemia

przedstawiają się oku bez pedantycznych przyborów. Przychodzień znajdzie tu wierne odbicie wszystkich osobliwości znajdujących się w Luwrze, w konserwatorium sztuk i rzemiosł i w muzeum marynarki; nadto znajdzie, czego tam nie ma, uprzejmego konserwatora sekretarza Towarzystwa, pana Laulrie, który przyjmuje gości uprzejmie i niby pełniąc skromny urząd Czczerona, naucza wielu rzeczy.

Ażeby dobrze pojąć olbrzymi postęp, jaki uczyniła fotografia, trzeba cofnąć się myślą nietylko do ostatniej ekspozycji, ale do wystawy pierwszych blaszek Daguerra, urządzonej w Paryżu 1840 roku. Kto jej nie widział, niech wyszuka, w jakiej zapomnianej szufladzie, jedno takie zwierciadełko z posrebrzanej miedzi, na powierzchni którego można dojrzyć nie bez trudu, jakieś widmo szarobłade, mogące zniknąć pod zbyt mocnym oddechem.

A jednak, dziwny problemat odtwarzania kształtów natury za pomocą światła był już rozwiązany na tych blaszkach, które dziś tak niedokładne nam się wydają. Franciszek Arago powitał je z zapalem. W uniesieniu hołdując Daguerrowi, popełnił nawet niesprawiedliwość, bo nie wspomniał o najpierwszym wynalazcy dagerotypu: Nicefor Niepce, którego pierwsze próbki datują z 1816 roku, o mało na zawsze nie utonął w zapomnienia fali.

Około 1854 roku Towarzystwo francuskie fotografii zawiązało się pod prezydencją członka instytutu pana Regnault. Bogaci lubownicy, uczeni i praktycy wspólnymi siłami założyli przegląd specjalny. Celem ich było stawiać wzory fotografom z professyi, którzy fabrykując pośpiesznie, puszczali w handel utwory wadliwe, oraz skupiać odkrycia i udoskonalenia jawiące się codziennie w kraju i zagranicą. Pomijając wszelkie względy handlowe, badając ciągle, poddając ścisłej krytyce wszelkie działania nowatorów, Towarzystwo formułą zastąpiło empiryzm i ocaliło jedną z największych zdobyczy tegoczesnych. Bez niego wynalazek w pierwszym zaraz poczęciu byłby przez brak smaku a chęć zysku, zagrzeźniętą w błocie i stał się czysto kramarskim wyrobem.

Towarzystwu francuskiemu zawdzięcza świat fotografię artystyczne tak wysoko dziś doprowadzone w Pa-

ryżu; Disderemu winien foto-karty, któremi dziś literalnie glob ziemski zasypano. Wynałazł je w 1856 roku. Wnet tysiące ich odbito; dziś wywożą je z Paryża pakami, za parę milionów rocznie. Głowy monarchów, bohaterów, duchownych, ludzi pióra i miecza, wszystko co na powierzchni globu zwie się pięknnością, chwałą, modą, nauką, honorem, nawet hańbą, dostać można za franka w dokładnem odbiciu. Disderego posąg stanie kiedyś obok posągu Daguerra; Niepce zapewne nigdy go mieć nie będzie: fotografia jak Ameryka, nie wzięła nawet nazwy swojego rzeczywistego wynalazcy.

Ta piąta expozycja, wyższa od poprzednich materialną doskonałością roboty, znaczy także postęp w dobrym smaku fotografów. Znać, że współzawodnictwo powszechne trzyma ich w ciągłym rozbudzeniu, wyścigi do doskonałości są widoczne. Fotografów-portrecistów liczba naturalnie przemaga; nie jeden z nich słusznie na nazwę artysty zasługuje. Tacy za pomocą gustu i bystrości obserwacyi, więcej jeszcze, niż za pomocą praktyki doszli do nadania swym twórcom cechy odrębnej, osobistej, podobnie jak pismo lub malatura.

Pomiędzy temi pierwsze miejsce zajmuje Stefan Carjat. Nieprzyjaciel powszedniości umie on poświęcić ubiór dla twarzy, umie uchwycić i uwydatnić wszelki wdzięk wzoru. Przez niego robione portrety młodych kobiet są jedyne pod względem wdzięcznego zanedbania, subtelności włosów i aksamitości cery. Carjat oznaczył także właściwy rozmiar portretu; mniejszy, już foto-kartą być powinien; większy wychodzi z ram światłem zakreślonych, przemienia włosy w krzaki, a skórę centkuje biało: najświeższa twarz na nich wydaje się ospowata.

Panowie Bayard i Bertall szczęśliwie pokonali jedną z największych trudności fotografii: przedstawienie osoby całej, pozostającej w pokojowem okoleniu.

Wzór, ujrawszy wycelowany na siebie wylot camera obscura, niby armaty wałowej, przed którą mu nieruchomie stać każą, sztywnieje, staje się osłupiały, nie-naturalny: wewnętrzne naprężenie i nuda, konieczne na twarz wybija. Niewiadomo jakim sposobem postaci Bayarda tego unikły: są żywe, stąpają po prostu, oddy-

chają swobodnie; sam Gavarni nie miałby im nic do zarzucenia.

Mniej wykwintnie, ale także nie źle, wywiązał się z tego zadania wiedeński fotograf Angerer. Nadesłał na wystawę grupy złożone z kilkudziesięciu osób. Jedną złożył z frejlin dworskich, inne z wojskowych węgierskich i austriackich. Fotografie jego bardzo zwracały uwagę paryżkiej publiczności.

Pejzażystów było daleko mniej niż portrecistów. Mianowicie mniej widzieliśmy studyów oderwanych natury; jak drzewa, pnie, skały i t. d.: prawie na każdym odbiciu przedstawiono całość. Alfons Davanne celował w tym rodzaju. Umie on wybierać widoki, schwycić godzinę w której słońce najlepiej uwydatnia cechę wioski, przez grę światło-cienia, kiedy morze najwymowniej do wyobraźni przemawia. Jego *Etretat*, i rozmaite zagrody sielskie, świadczą jak dalece intelligencja ludzka może naprawić skazy narzucone harmonii natury, przez prawa fotografii.

Maxwell Lyte, Anglik osiadły w Pyreneach, wybornie uchwycił czarowną postać dolin i zarysy niknących w chmurach tych gór uroczych. Bissona widoki Szwajcarii i Sabaudyi, nie mają sobie równych. Fotografie angielskie przypominają zawsze ich czarne sztychy; niemieckie zimne są jak szkoła Owerbeck'a; francuzkie w ścisłym pozostają związku z manierą pejzażystów nowej szkoły francuzkiej.

Zbiór Henryka Cammas przywieziony z nadbrzeżów Nilu, był koroną wystawy. Składał się on ze stu pięćdziesięciu widoków znacznych rozmiarów, przedstawiających najpiękniejsze pozostałości egipskiej starożytności: Denderah, świątynia Ipsambul, sala Karnaku, podwórzka poprzedzające świątynię Izydy, jej zewnętrzna kolumnada: wszystkie te pomniki których olbrzymie kształty wyobrażenia zaludnia processyą bogów, czcicieli i zwyciężonych ludów; wszystkie te granitowe karty, których tajemnice oddecyfrowała nakoniec nauka, Cammas pokazał w wiernym odbiciu Paryżowi.

Dla uczonych są to materyały nieoszacowane; dla ogółu, jestto długa, męcząca i kosztowna podróż, przemieniona w przyjemną wędrówkę.

Cammas atoli, nie uważa zadania swojego za skończone: znowu odjechał do Egiptu opatrzony lepszymi od poprzednich narzędziami. Zabrał także co potrzeba do otrzymania elektrycznego światła: wniosłszy je w pomniki przywalone górami piasku, w temperaturze trzydziestu stopni, będzie fotografował wnętrza owych sal tajemniczych, pokrytych malowidłami i rzeźbą.

Niegdyś, uczeni francuzcy przydani armii egipskiej, cofnęli się przed tym nadludzkiem zadaniem. Champollion młodszy powiada, że papier topniał literalnie, pod strugami potu ciekącego z artystów po dziesięciu minutowej pracy. Praca nie miała wtedy na swoje usługi fotografii i elektrycznego oświetlenia. Cóżkolwiekbydz, przedsięwzięcie Cammasa jest jednym z najwięcej zajmujących teraz na świecie: nie można lepiej zużytkować wielkiego majątku. Pierwsza wycieczka do Egiptu kosztowała tego zamożnego obywatela 60,000 franków.

Pani Joanna Clifford nadesłała z Madrytu i Sewilli widoki architektoniczne, których wykonanie nic do życzenia nie pozostawia. Pomniki hiszpańskie uwydatniają dopiero całą wartość fotografii. Tam gdzieby artysta długie tygodnie spędził na kopiowaniu koronek Alhambry, fotograf w godzinę dostarczy dwudziestu widoków mających matematyczną precyzją oryginału.

Nie ma po co podróżować, odkąd jest sposób pokazania ulicy, lub planu, nie tylko z zalewającym je słońcem, ale z całą ludnością, zwierzętami i powozami, które po mieście krążą. Jakieżże to wartości będą kiedyś dla historyka te wierne odbicia, pokazujące jak magiczne zwierciadło, ubiór, ruszenie i pozór całej populacji w pewnym czasie.

Reprodukcja dzieł sztuki jest najpraktyczniejszym zastosowaniem fotografii. Jakkolwiek w reprodukcji obrazów nie przewyciężono jeszcze niektórych przeszkód kolorytowych: niebieskie wychodzi białe a żółte czarno — zręczny fotograf umie ominąć trudności. Bingham, pierwszy który wprowadził do Francji wynalazek Talbot'a, fotografią na papierze, kopiuje obrazy z doskonałością nie zrównaną. Utwory Pawła Delaroche i Ary Scheffera, zebrane przez niego, tworzą albumy dające dosko-

nałe pojęcie o rodzaju talentu tych mistrzów. Obrazy Meissonniera także Bingham fotografuje, w miarę jak przybywają. Kto nie może posiadać oryginałów, które się na wagę tysiąco-frankowych banknotów sprzedają, może nabyć tanim kosztem wierne cienie wszystkich tych palaczy, szachistów, fletnistów, zbirów, drabów i oszustów, zdobiących galerye monarsze.

Blaiz'a kopie obrazów z ostatniej wystawy, także nie posłednie miejsce zajmowały w dziale fotografii artystycznych.

Fotografie przedmiotów sztuki, jak zbiór francuzkich fajansów, świeżo kupiony od pana Leveel do muzeum Cluny, i zbiór Campana, tak wierne, tak doskonałe, że zupełnie od oglądania wzorów uwalniają.

Prócz wymienionych było jeszcze wiele ciekawych rzeczy do widzenia na tej wystawie: naprzykład, *pchła* powiększona milion razy, potwór ogromny jakiego wyobrazić sobie niepodobna; była także owa sławna szczeka przedpotopowa, kość niezgody, która tak mocno pokłóciła paryzkich i londyńskich uczonych. Dalej były portrety ustalane na emalii przez pana Lafon de Camarsac, które odbiciu względną wieczność zapewniają. Korzystając z tego przedziwnego zastosowania fotografii, rząd francuzki nakazał utworzyć w Wersalu galeryą znakomitości społecznych, w ten sposób reprodukowanych. Były prócz tego fotografie mikroskopijne Dagron'a, który katedrę Notre Dame zmieścił na ziarnku prosa; próby fotografii na kamieniu, pana Lemercier, fotografie na stali, pana Nere i t. d.

Przegląd naukowy części fotografii był najwięcej zajmujący. Część artystyczna w końcu nuży: nie można się zapalić do fotografowanych portretów i pejzażów; portrety nie mają duszy olejnego wizerunku—na liście tych drzew zdaje się że ulewa sepii spadła... rychły przesył mówi wyraźniej niż rozumowanie, że sztuka *wielka* sama jedna wiecznie jest powabną i podnoszącą ducha, jako ideał natury. Zastosowanie atoli tego zdumiewającego kunsztu, będącego jeszcze w kolebce, horyzonty jakie ukazuje w oddali, przenoszą widza nieznacznie, w jakiś świat

nowy, zdają się uchylać zasłonę zakrywającą oczom jego, przyszłość, i zaciekawiają, jako owoc drzewa mądrości.

Umarł najoryginalniejszy malarz francuzki: Eugeniusz Delacroix. Śmierć zwyciężyła nakoniec dzielnego artystę, który przez lat pięćdziesiąt walcząc z ludźmi, zwyciężyć się nie dał.

Rzecz dziwna! ten pół-bożek malarstwa, czczony przez tylu wiernych, nie zostawił wychowanców: długi zawód artystyczny przeszedł sam, nie pociągając za sobą ani jednego apostoła, których całe pułki zazwyczaj prowadzą nowatorowie.

Jestże to klęska dla sztuki? Nie sądzimy. Geniusz głęboko indywidualny, taki jakim był geniusz Delacroix, przekazywać się nie da. Uczyć można rysunku, kolorytu do pewnego stopnia; natchnienia nie, a Delacroix nie prócz natchnienia nie posiadał. To co naśladować z jego maniery można, nie przyniesie zaszczytu sztuce: nieoprawność, chociażby najpotężniejsza, wprowadzona jako zasada, niebezpieczeństwem groziłaby uczniom. Iskra boża w nim była, i tę zabrał z sobą. W szkole francuzkiej zostanie jak zostawał w życiu: mimo licznych przyjaciół i wielbicieli, zawsze samotny.

Szczegóły podane w *Pamiętnikach* Alexandra Duma o Eugeniuszu Delacroix, najlepszą są dotąd biografią sławnego malarza. Przytaczamy tu z nich ustęp dotyczący człowieka: artysty najwymowniejszą biografią jest katalog dzieł jego wystawionych w 1855 roku na wystawie powszechnej w Paryżu, a będących koroną expozycji artystycznej.

„Temperament, to drzewo; dzieła są tylko jego kwiatem i owocem. Założenie powyższe Dumas w życiorysie Delacroix rozwija.

Eugeniusz Delacroix urodził się w Charenton, Charenton varyatów, dla tego też nikt lepiej od niego nie malował wszelkiego rodzaju obłąkanych. Urodzony w 1798 roku był ostatniem dzieckiem swoich rodziców: brat jego miał dwadzieścia pięć lat więcej niż on; siostra już była za mężem kiedy on przyszedł na świat. Trudno w dzie-

ciństwie doznać więcej przygód jak Delacroix. Licząc ledwie lat trzy, już wisiał, palił się, topił, trukał i dławił. Trzeba było przeznaczenia nielada, żeby wyjść cało z tego wszystkiego.

Pewnego dnia, ojciec Eugeniusza, kawalerzysta, wziął go na ręce i podniósł do wysokości ust swoich: podczas kiedy ojciec całował, dziecko bawiło się obwijaniem sobie około szyi mundurowego sznura od obroku. Wtém ojciec zamiast go postawić na ziemi, puszcza chłopca... i Delacroix wisi: szczęściem odcięto na czas sznury.

Pewnego wieczora służąca zostawiła świecę zbyt blisko firanki od jego łóżka, wiatr nią poruszył, firanka się zajęła, od niej prześcieradło, materac i koszula dziecięcia. Delacroix w płomieniach zaczął wrzeszczeć: przybiegła służba i ugasiła. Czas był wielki. Plecy Eugeniusza do śmierci zachowały ślady spalenia.

Skoro ojciec przyszłego malarza z prefektury Bordeaux został przeniesiony na marsylską, wyprawiono nowemu prefektowi ucztę w porcie. Obnosząc prefektowicza po mieście, służący potknął się i upadł w morze... Delacroix się topił... Szczęściem, majtek rzucił się w morze i wyłowił, właśnie w chwili kiedy sługa o własnym ratunku myśląc, puścił dziecko.

Później, w ojcowskim gabinecie Eugeniusz znalazł kwas pruski przygotowany do kolorowania map geograficznych. Podobał mu się kolor, Delacroix był zawsze kolorystą, złapał i wypił... Już był w konwulsjach, kiedy ojciec powrócił; znalazł próżną miseczkę, domyślił się co zaszło, przywołał doktora i uratował malca.

Pewnego znowu razu, matka dała mu suche winogrono. Chłopak był łakomy, zamiast jeść pō jagódce, połknął naraz całe grono: stanęło mu w gardle jak ość od ryby. Zaczął się dusić.. przerażona matka włożyła mu rękę w gardło, uchwyciła łodygę, wyciągnęła, i udławiony Delacroix odetchnął.

Pewnie to z powodu tych wypadków, powiada Dumas, jeden z biografów pisze, iż Delacroix był nieszczęśliwy w dzieciństwie. Ojciec i matka kochali go bardzo i nie ma dziecka nieszczęśliwego, jeżeli rośnie i rozkwita pomiedzy tą podwójną miłością.

Kiedy miał lat ośm, oddano go do szkół. Pozostał tam lat siedemnaście przepędzając wakacje albo u ojca, albo u wuja pana Riesener, znanego portrecisty. U wuja poznał malarza Guérin. Namiętność malarska nie opuszczała Eugeniusza: mając lat sześć, w 1804 roku, podczas obozu w Boulogne, wyrysował białą kredą na czarnej desce „wylądowanie Francuzów w Anglii.” Francją przedstawiła góra, Anglią dolina; wziął dosłownie często słyszane wyrazy: *c'était la descente en Angleterre*. O morzu nie było wzmianki. W sześciu leciech pojęcia geograficzne jeszcze nie oznaczyły się w głowie Eugeniusza.

Riesener umówił się z Guérinem, że skończywszy szkoły Delacroix wejdzie do jego pracowni. Były trudności ze strony rodziny: ojciec chciał żeby syn był urzędnikiem, matka pragnęła widzieć go w dyplomacyi. W osiemnastu latach utracił ojca i majątek: zostało mu tylko 40,000 franków i wolność poświęcenia się malarstwu. Wszedł tedy jako uczeń do pracowni Guérin'a. Pracował jak mógł, marzył, tworzył, i wykonał *Łódź Danta*. Ludzie silni, tyleż a często więcej ducha wkładają w swe pierwsze dzieło, jak w późniejsze: ten obraz wyrosł pod oczyma sławnego Géricault. Ognistém słońcem było wejście takiego mistrza, który właśnie wtedy malował „*Rozbicie Meduzy*.” Géricault często przychodził patrzeć na malującego Delacroix. Bawiła go szybkość i fantazyja młodego rywala, a raczej wielbiciela; patrzył mu przez ramię, Delacroix był niski, a Géricault wysoki, albo też siedząc na krześle jak na koniu (Géricault tak lubił konie że zawsze siadał na czymś jak na koniu) nie spuszczał z oka stalugi.

Skończywszy *Łódź Danta*, Delacroix pokazał obraz panu Guérin. Mistrz przygryzł usta, zmarszczył brwi, mruknął, potrząsł głową, i nic nie powiedział. Obraz wystawiono.

Gérard zobaczył go w przechodzie i stanął jak wryty. Wieczór obiadując z Thiersem rzekł do przyszłego ministra naówczas skromnego fejletonisty Constitutionela: „Mamy jednego malarza więcej.”—Który się zowie?—Eugeniusz Delacroix.—Cóż odmalował?—Danta z Wirgiliuszem przebywających Acheron.

Nazajutrz Thiers obejrzawszy obraz wyszedł zachwycony. „Jest pewne prawdziwe poczucie artystyczne, jeżeli nie w sercu to w umyśle Thiersa — powiada Dumas. Co mógł zrobić dla sztuki, to zrobił: żadnego rodzącego się geniuszu nie prześladował, żadnego młodego talentu nie podeptał. Nadto, miał rękę jeżeli nie sprawiedliwą, to przynajmniej szczęśliwą.”

Thiers zachwycony obrazem Delacroix napisał o nim do *Constitutionnela* wspaniały artykuł. Rząd kupił obraz za dwa tysiące franków, na rekomendacyą Gérarda i Grossa, i kazał go zawiesić w galeryi Luxemburskiej, której jest do dziś dnia ozdobą.

Kiedy salon 1824 roku otwarto, wszystkie oczy zwrócone były na Grecyą. „Pojęcia naszej młodości, pisze Dumas, zyskiwały co dzień większe uznanie, rekrutowały ludzi, pieniądze, poezyą, malarstwo i muzykę. Śpiewano, malowano, rymowano i zbierano składki na Grecyą. Kto by był wówczas stanął po stronie Turków, byłby niechybnie ukamienowanym. Delacroix wystawił swój sławny obraz *Rzeź Scio*. Wielki Boże! któryś i wtedy na nas patrzył, nie zapomniałeś pewnie wrzasków jakie wywołała ta malatura, w układzie szorstka, gwałtowna formą, a tak pełna poezyi i wdzięku!”

Tą razą Delacroix przebył Rubikon: zerwał zupełnie ze szkołą cesarską i popalił za sobą okręty. W dwudziestu sześciu latach ogłoszony mistrzem, utworzył szkołę — nie wychowawców, ale uczniów, wielbicieli i fanatyków. „Nieprzyjaciele szukali kogoby mu przeciwstawić, i wynaleźli człowieka w niczem doń niepodobnego. Wykryto Ingra i skupiono się około niego. Chwalono go i ukoronowano przez nienawiść Delacroix. Jak za inwazyi Hunów i Wizygotów, krzyczano na barbarzyńców, wzywano pomocy ś. Genowefy, obrano króla i zaklinano papieża. Wzrost swojej sławy Ingres zawdzięcza pewnie nie miłości swojej *szarżyzny*, ale nienawiści i obawie jaką budził płomienny pędzel Delacroix. Wszyscy co przeszli pięćdziesiątkę, trzymali z Ingrem, wszyscy co jej nie doszli z Delacroix.”

Thiers jeden, pochwalił *Rzeź Scio*. Kupiono ją dla króla za sześć tysięcy franków i odesłano do Luxemburga.

Delacroix wydał tę sumę na sztychy i podróż do Anglii, gdzie się udał celem obejrzenia sławnych zbiorów. W tym peryodzie pomysłności, odmalował *Hamleta*, *Giaura*, *Tassa*, *Greycę na gruzach Missolonghi* i *Marino Faliero*. „Kupiłem trzy pierwsze z wymienionych obrazów, powiada Dumas; dziś jeszcze należą one do najpiękniejszych jakie stworzył Delacroix (pisał to przed dziesięcią laty). *Greycę* zakupiono do muzeum na prowincyą. *Marino* miał dziwne przeznaczenie. Krytyka uwzięła się na ten obraz; nikt go kupić nie chciał; Lawrence go ocenił i miał nabyć, kiedy umarł. Obraz został w pracowni.

„W 1836 roku zaszedłem do następcy tronu, kiedy miał właśnie posyłać Wiktorowi Hugo w zamian za dedykowany księżnie Orleańskiej tom poezyj, jakąś tabakierkę czy pierścione. Pokazał mi przedmiot, a ja zawołałem: Na Boga! Mości książę, nie posyłaj Hugonowi takiej rzeczy!

— Dlaczego?

— Bo to zwykły upominek królewski, a książę Orleanu jest nadto, człowiek serca i artysta.

— Cóż mu mam posłać?

— Zdejm którybądź obraz ze ściany i pošlij mu go.

— Dobrze: niech i tak będzie. Wyszukaj mi proszę, u którego znajomego artysty, jaki obraz, któryby się Hugonowi podobał: tym sposobem dogodzę nie jednemu ale dwom naraz: poecie i malarzowi.

Usłyszawszy te słowa wybiegłem pędem podążając do pracowni Delacroix. Chciałem nabyć jego *Marino-Faliero*. Przebiegłem mosty i sto siedmnaście schodów do pracowni wiodących. Eugeniusz mieszkał wtedy na wybrzeżu Voltair'a. Wpadłem i rzuciłem się na krzesło zadyszany...

— Czegoż u kata, tak biegasz! — zawołał Delacroix.

— Bo mam ci dobrą powiedzieć nowinę.

— Jaką?

— Przychodzę kupić twojego *Marino-Faliero*.

— A! — zawołał, więcj nie rad niż zadowolony.

— Albo co? czy cię to nie cieszy?

— Czy dla siebie chcesz kupić?

— Jeżeli dla mnie, to ile chcesz?

— Co ty zechcesz dać: dwa tysiące, tysiąc pięćset...
tysiąc..

— Nie. Nie dla siebie: dla księcia Orleanu chcę go
nabyć. Ile dla księcia Orleanu?

— Cztery, pięć, sześć tysięcy, wedle galeryi w której
go chce zawiesić.

— To nie dla niego.

— A dla kogoż?

— Na podarunek.

— Komu?

— Nie upoważniono mnie do powiedzenia ci tego:
mogę tylko ofiarować sześć tysięcy.

— Mój *Marino* nie na sprzedaż.

— Jakto? Wszakżeś mi go dawał za tysiąc franków?

— Tobie.

— Księciu za cztery.

— Tak, ale tylko tobie albo księciu. Tyś mój przy-
jaciół, a książę miłośnik, znawca: komu innemu jak jedne-
mu z was, nie sprzedam.

— Cóż za dziwna myśl!

— Moja. Każdy inny obraz sprzedam, ale nie ten.

— Dlaczego?

— Bo mi tyle na niego nagałano złego, że go
ukochał jak matka biędne dziecię wątłe, lub chrome
kocha. Tu w pracowni, ma mnie, biedny paria, żebym
nań patrzył mile, jeżeli nań inni krzywo patrzą; żebym
go pocieszał jeżeli go upokorzą. U ciebie, miałby, jeśli
nie ojca, to opiekuna, bo gdybyś go kupił, ty co nie
jesteś bogatym, to widać dla tego, że ci się podoba.
U księcia, zamiast szczerých pochwał, miałby pochwały
dworaków: „Malatura musi być dobra, kiedy ją książę
nabył”, mówionoby, „znać krytyka się pomyliła, tą razą
nie ma racji ta jędza wściekła”. Ale u obcego, obojęt-
nego, któregooby nie nie kosztował, któryby nie miał
żadnego powodu jego strony trzymać... nie, nie, nie! Mój
Marino bądź spokojny, tam cię nie dam!

Daremniem prosił, nalegał, zaklinał. Delacroix nie
ustąpił. Ofiarowałem ośm tysięcy: odmówił. Oto człowiek”!

Obraz do śmierci w jego pracowni pozostał.

Dalój Dumas maluje następujący portret Eugeniusza Delacroix.

„Delacroix jest wzrostu Verneta, prawie tak szczupły jak on, ubiera się bardzo wykwintnie, jest *très-coquet*; ma 55 lat (dziesięć lat temu), włosy, wąsy i faworyty czarne, jak w trzydziestu. Włosy kręcą mu się naturalnie, brodę ma rzadką, wąsy nieco najeżone, podobne do dwóch szczypt tytoniu na cygaretko. Czoło szerokie, zakończone u podstawy, dwiema gęstymi brwiami ocieniaczami oczy małe, błyszczące, jak płomień z pod powiek podłużnych. Skóra jego śniada, marszczy się jak skóra lwa. Usta przycięte, zmysłowe, do uśmiechu skore, a uśmiechając się, odkrywające zęby białe jak perły. Wszystkie ruchy jego żywe, nagłe; słowo jego maluje, gest mówi. Umysł ma giętki, dyskutujący, łatwo znajdujący odpowiedź. Lubi walkę i rozwija się w niej, skrzący mnóstwem spostrzeżeń trafnych i nowych. Obok talentu ryzykownego, pełnego kaprysów i zboczeń, ma rozsądek trzeźwy, od paradoxów wolny, bardzo klasyczny. Rzekłbyś, że natura wszystko równoważyć usiłująca, postawiła go w głowie Eugeniusza, jako zręcznego woźnicę z lejcami w ręku, dla powstrzymywania dwóch rumaków ognistych, zowiących się: jeden *wyobraźnia*, drugi *fantazya*.

„Czasami umysł ten bogaty, wzbiera. Wtedy słowa mu już nie wystarczają: ręka upuszcza pędzel, niezdolna oddać teorii, której chce bronić, i chwyta pióro. Wtedy zapominasz o *Łodzi Danta*, *Hamlecie*, *Tassie* i *Giaurze*, i żałujesz, że ten człowiek, który tak dobrze, łatwo i poprawnie pisze, nie pisze. Potém nagle przypominasz sobie, że wielu może pisać tak, jak Delacroix, ale nikt tak malować nie umie... i masz ochotę wytrącić mu pióro z ręki”.

— Ojciec Passaglia wydał w jednym tomie krytykę *Życia Chrystusa*, napisanego przez Ernesta Renan. Książka będzie niebawem przetłumaczona na język francuzki.

— Znany uczeń Quineta, Ludwik Chassin, wydał nader znakomite dzieło pod napisem „Geniusz rewolucyi”

(Le Genie de la Revolution par Ch. L. Chassin). Autor przechodzi ustawy i wyluszcza myśl pozostawioną potomności przez rewolucyą francuzką 1789 roku.

— Panowie Peyrat, Cuvillier-Fleury i Sainte-Beuve, wydali każdy po jednym tomie artykułów swoich dziennikarskich: dwaj pierwsi artykuły umieszczane w *Debat*; ostatni, rozbiory literackie umieszczane w *Monitorze* pod tytułem: „Nowe poniedziałki”.

— Wydawca Hetzl rozpoczął druk obszernego dzieła dla dzieci, pod ogólnym tytułem Biblioteki edukacyjnej (Bibliothèque d'Education et de Récréation). Zbiór zupełny książek naukowych i zabawnych do umysłu dzieciennego zastosowanych, składać się będzie z 20 tomów w 18cc, po 3 fr. tom.

— „*Szatan gry*” (Le Demon du Jeu) pięcio-aktowy dramat autora Dziewic marmurowych, Teodora Barrière, zyskał wielkie powodzenie na scenie paryzkiej. Sztuka napisana z ogromnym ogniem i śmiałością niepospolitą, a wymierzona przeciw grasującej w Paryżu pladze, szulerniom kwitnącym mimo zakazu rządu, na obszerny rozbiór zasługuje. Dla braku miejsca odkładamy go do przyszłego listu.

